

Temat tygodnia

- 12 Adam Grzeszak
Polska drewnianą potęgą
- 16 Ewa Siedlecka
Władza śledzi, nagrywa, podsłuchuje

Polityka

- 18 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
Niech lewica sama się zorganizuje
- 21 Anna Dąbrowska
Wojciech Szacki
Co się dzieje w pałacu prezydenta
- 24 Były szef „Wiadomości”
Robert Kozak o metodach propagandy TVP

Społeczeństwo

- 26 Piotr Pytlakowski
Dezubekizacja, czyli odwet
- 28 Joanna Podgórska
Dużo religii w nowym programie szkolnym
- 31 Piotr Rutkowski
Jak się lepiej bronić przed żywołem
- 34 Violetta Krasnowska
Wojna muftich

Rynek

- 36 Rafał Woś
Jak się zarabia na wodzie
- 39 Rozmowa z dr. **Markiem Rozkrutem** o tym, którzy wycieka podatek VAT

Świat

- 42 Mariusz Zawadzki USA
Nieodrobiona lekcja historii
- 45 Aleksandra Lipczak HISZPANIA
Ceuta i Melilla: enklawy radykalizmu
- 48 Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz
ROSJA **Kultura pod specjalnym nadzorem**

Historia

- 50 Magdalena Semczyszyn
Polskie ofiary stalinowskiego terroru



18

Lewą marsz!



28

Alleluja i do szkoły



42

USA: kogo ściągnąć z cokołu



92

Nowy sojusz miasta z wsią

- 53 Marcin Zaremba
Solidarność – czy to była rewolucja

Nauka

- 56 Rozmowa z prof. **Piotrem Wolańskim** o 40 latach trwania misji sondy Voyager 1
- 60 Edwin Bendyk
Globalne ocieplenie, lokalne ochłodzenie

Kultura

- 66 Piotr Sarzyński
Polacy w École de Paris
- 70 Jarek Szubrycht
Rapowane krzywdy ludu
- 74 Dorota Szwarzman
Lusławice Pendereckiego: filharmonia w polu
- 76 Olaf Szewczyk
Kantor wirtualnie
- 78 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 80 Tomasz Targański
Peter Madsen: wizjoner czy zbrodniarz?
- 84 Marcin Piątek
Jak nasza Ekstraklasa nie poznała się na Paulinho

Na własne oczy

- 92 Marta Sapała
fotografie Anna Musiałówna
Zamów sobie warzywa prosto z pola

Stałe rubryki

- 4 Mleczko
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 62 Afisz • 86 Passent
- 87 Chutnik i Plebanek
- 88 Stomma • 89 Tym
- 90 Do i od redakcji • 91 Fusy
- 98 Polityka i obyczaże



Z ŻYCIA SFER

Co nam daje państwo

Za czasów Tuska mieliśmy państwo, które nic nie mogło, i rząd, który nic nie robił. Te czasy szczęśliwie minęły. Teraz państwo może już prawie wszystko, a rząd, jak również inne organa władzy państwowej, wręcz zadziwiają nas swoją aktywnością. Te organa jak nigdy dotąd kierują się troską o obywateli, których pragną otoczyć możliwie wszechstronną opieką. Intencje władzy nie zawsze i nie przez wszystkich, niestety, są właściwie rozumiane.

Oto ze strony słabej i nielicznej, ale za to totalnej opozycji padły ostatnio zarzuty, że jej przedstawiciele, biorący udział w antyrządowych i antypaństwowych (a więc w istocie antypolskich) demonstracjach, są inwigilowani przez policję. Na szczęście otrzymaliśmy kompetentną policyjną odpowiedź, że nie chodziło tu o żadną inwigilację, a jedynie o zapewnienie opozycjonistom ochrony. Ci co prawda utrzymują, że o żadną ochronę nie występowali, ale przecież świadczy to tylko o tym, że na pomoc i ochronę ze strony państwa możemy liczyć w każdych absolutnie okolicznościach, bez względu na to, czy sobie tego życzymy, czy nie.

Państwo chroni nas, przed czym tylko może, i nie szczędzi w tej dziedzinie wysiłków. W sferze kultury stara się obronić nas przed zalewem obcych i szkodliwych treści, stawiając tamę w postaci treści rodzimych i krzepiących. To samo w oświacie, o czym świadczy

nowa szkolna podstawa programowa. Broni nas przed brutalnymi ingerencjami ze strony Unii Europejskiej, która nieustannie próbuje mieszać się w nasze wewnętrzne sprawy. Państwo chroni nas na ulicy w czasie demonstracji, dbając, żeby niesłuszne demonstracje nie przeszkadzały słusznym, chroni nas w domu, gdzie dzięki państwowej telewizji zyskujemy odporność na szkodliwe wpływy telewizji niepaństwowej oraz niewłaściwych lektur. Chroni nas nawet w łóżku, dbając, byśmy nie mieli zbyt łatwego dostępu do moralnie wątpliwych środków antykoncepcyjnych, których użycie mogłoby nas nakłaniać do rui i poróbstwa.

Jesteśmy winni wdzięczność naszemu państwu. Coraz bardziej staje się właśnie nasze, ludowe. Broni nas przecież także przed największym chyba zagrożeniem – przed elitami. Ma co prawda potknięcia na tej drodze. Nie udało się szybko i energicznie przeprowadzić ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa i Sądzie Najwyższym, które raz na zawsze skończyłyby z elitarnym charakterem tych instytucji. Zawiódł, niestety, pan prezydent. Ale oto, z jego udziałem, rusza debata pod hasłem „Konstytucja dla obywateli, nie dla elit”. Miejmy nadzieję, że w nowej ustawie zasadniczej znajdzie się zapis o konstytucyjnym zakazie istnienia elit, co zapewni nam trwałą przed nimi ochronę.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JP

Już za tydzień z POLITYKĄ O kolei po kolei

Fascynujące
dzieje
pociągów

Transport
przedkolejowy

Wiek pary
i elektryczności

Najpiękniejsze trasy
kolejowe

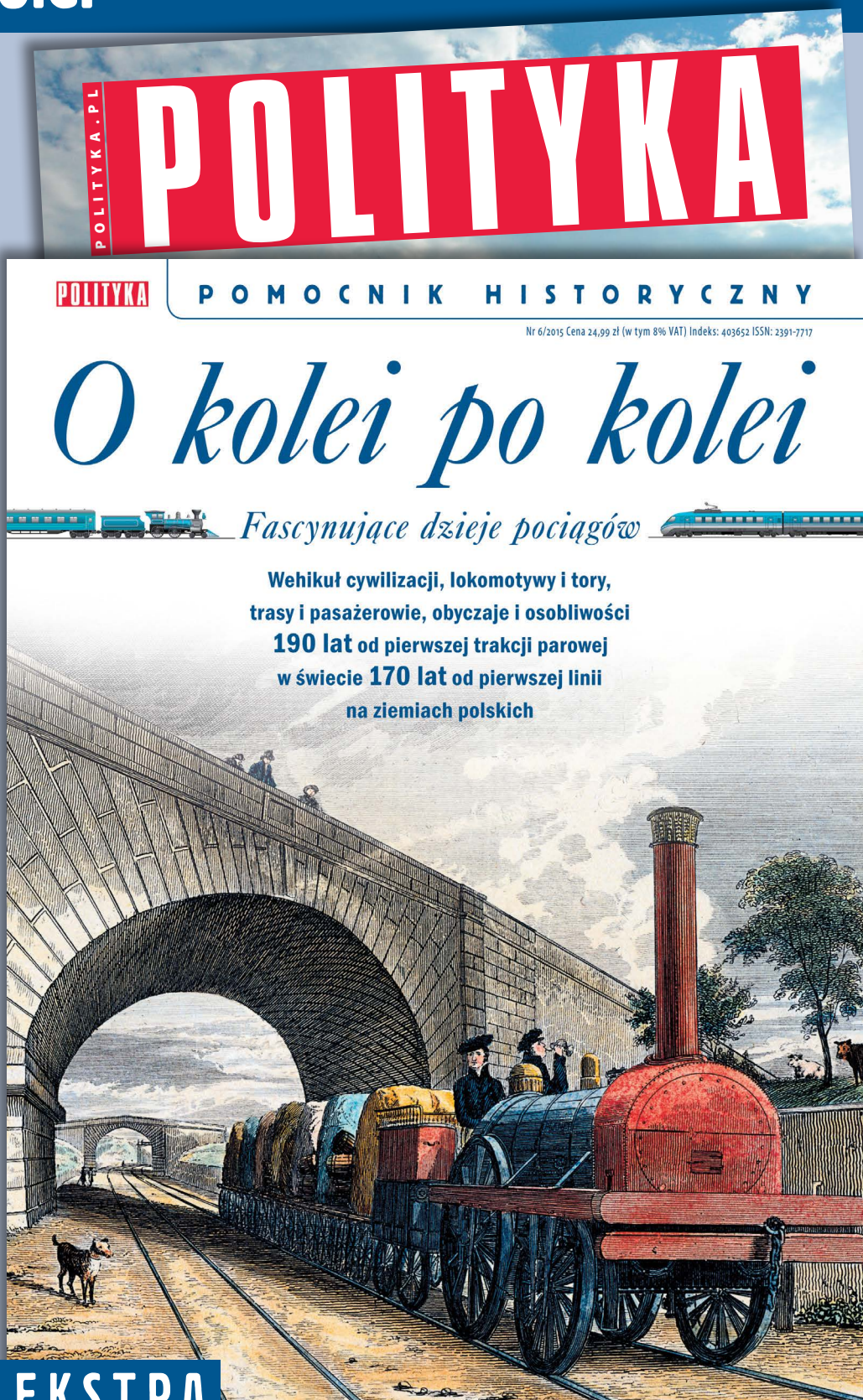
Legendarne pociągi
i wagony

Najciekawsze dworce

Rekordy prędkości

26,99 ZŁ

164 STRONY EKSTRA



Kwestia honoru



Jerzy Baczyński

W poprzednim numerze POLITYKI gen. Mirosław Różański, do niedawna dowódca generalny polskich sił zbrojnych, z niepokojem i zażenowaniem mówił o „sprawie gen. Jarosława Kraszewskiego”, głównego doradcy wojskowego prezydenta Dudy, któremu Służba Kontrwywiadu odebrała prawo dostępu do informacji niejawnych. Ta afera wciąż trwa, mimo nieśmiały próśb pani premier kierowanych do ministra obrony, aby sprawę jakoś wyjaśnić i zamknąć. A jest to rzeczywiście skandal. Otóż kontrwywiad niedwuznacznie sugeruje opinii publicznej, że wysoki rangą oficer Biura Bezpieczeństwa Narodowego nieświadomie lub świadomie (jako szpieg?) działał przeciwko bezpieczeństwu państwa, bo tylko to uzasadniałoby nagłe odebranie mu wglądu do tajemnic wojskowych. Ponieważ prezydent tego człowieka mianował, tolerował i nadal go broni, sam niebezpiecznie zbliża się do granicy zdrady stanu. A cała afera do granicy absurdu. Gdyby w ogóle bawić się w idiotyczne, dziś tak łatwo rzucane, oskarżenia o zdradę, to pierwszą osobą, która powinna być pozbawiona dostępu do informacji niejawnych, jest sam Antoni Macierewicz, otoczony siecią mrocznych, nigdy niewyjaśnionych powiązań z „przyjaciółmi Rosji”. Jednak sprawa jest naprawdę poważna.

Przecież tu nie chodzi o jednego oficera. Antoni Macierewicz zdemisjonował i przesunął w stan spoczynku dziesiątki generałów i pułkowników, rozbił dotychczasowe dowództwo polskiej armii, składające się już niemal wyłącznie z żołnierzy wykształconych w strukturach NATO, doświadczonych podczas bojowych misji Paktu. Tej czystce towarzyszą podobne brudne sugestie, jak w przypadku gen. Kraszewskiego. Bo jeśli, bez dania racji, oficerów zwalnia się ze służby, to, w domyśle, znaczy, że musieli być nie w porządku – nieudolni? nieuczciwi? nieojojalni? niepatriotyczni? – słowem, odbiera im się nie tylko stanowisko, ale próbuje także pozbawić publicznego szacunku i honoru. Akurat w wojsku pojęcie „honoru” nie jest archaicznym banałem, to wokół niego wciąż buduje się etos służby, wzajemnego zaufania, gotowości do poświęceń; to jest spora część wartości armii. Ale Macierewicz odbiera także prawo do dumy nowo awansowanym oficerom. Godząc się obejmować stanowiska po skrzywdzonych kolegach, akceptując naruszanie dotychczasowych reguł dymisji i awansów (przeskoki o kilka stopni w górę, bez należytej praktyki i doświadczenia) – ryzykują, że, być może niesprawiedliwie, będą zaliczani do korpusu „oficerów pisowskich”. Armii dotychczas udawało

się zachować polityczną neutralność, ale widać, że podobnie jak inne instytucje państwa ma być „armią prywatną”, partyjną, a oficerowie muszą być świadomi, komu zawdzięczają karierę i komu są winni lojalność. To już jest niebezpieczeństwo.

Ten przekaz w odniesieniu do wszystkich struktur sił państwa wzmacnia tzw. ustawa dezubekizacyjna, która odbiera nabyte uprawnienia emerytalne i rentowe 50 tysiącom byłych pracowników służb mundurowych i ich rodzinom, jeśli funkcjonariusz „choć jeden dzień” służył w czasach PRL. Ten konstytucyjny i humanitarny horror (czytaj s. 26) wprowadza nie tylko odpowiedzialność zbiorową i zasadę działania prawa wstecz, ale przekreśla także wszelkie zasługi w pracy dla wolnej Polski. Tysiącom ludzi (wśród których naprawdę trudno już znaleźć uprzywilejowanych „komunistycznych oprawców”) zabiera się nie tylko środki do życia, ale ustawowo pozbawia czci i honoru. Na tej samej logice mają być oparte reformy sądownictwa firmowane przez Zbigniewa Ziobrę. Zapowiadanej wymianie składu Sądu Najwyższego, KRS czy prezesów sądów powszechnych towarzyszy przecież totalna krytyka sędziów jako rozpaskudzonej, skorumpowanej, złodziejskiej kasty, ferującej „niesprawiedliwe wyroki” (w Szczecinie wobec sędziów w tzw. sprawie polickiej wszczęto postępowanie prokuratorskie). Odnowa, również moralna, ma przyjść wraz z wymianą kadr. Niedawno Forum Współpracy Sędziów zwróciło się z apelem do całego środowiska, aby w takiej atmosferze nie przyjmować posad i nominacji z rąk min. Ziobry, bo to może być kiedyś powód do infamii i „depisyzacji”. Przegrogą jest to, co stało się z Trybunałem Konstytucyjnym, gdzie pełniący funkcje prezesa i wiceprezesa, pani Przyłębska i pan Muszyński, jawnie przyjęli rolę politycznych komisarzy.

Młodzi ludzie, którzy mają pecha zaczynać swoje kariery publicznie w czasach PiS, od razu napotykają wyzwania etyczne, jakie powinny być oszczędzone młodemu pokoleniu Europejczyków. Pisaliśmy o absolwentach Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, dla których Zbigniew Ziobro trzymał stanowiska asesorów, w nadziei zapewne, że staną się janczarami PiS – i pytaniu, jakie sobie zadawali: czy potrafią obronić swą niezależność, zawodowy honor? To samo wcześniej przeżywali absolwenci Krajowej Szkoły Administracji Publicznej, którym najpierw rozwiązano państwową służbę cywilną, do jakiej byli kształceni, a potem przypieczętowano partyjne przejęcie KSAP, nadając szkole imię Lecha Kaczyńskiego. Przykro patrzeć, jak wielu ludziom rządząca partia podsuwa dziś szatańskie cyrografy: kariera w zamian za uległość, za mniej lub więcej wstydu. Dotyczy to choćby prokuratorów (w tym zwłaszcza prokuratorów IPN) podejmujących polityczne prace zlecone; młodych dziennikarzy (?) telewizji publicznej godzących się firmować własnymi twarzami bezwstydną propagandową kłamstwa; policjantów i agentów służb specjalnych wykonujących polecenie inwigilacji opozycji (s. 16); menedżerów spółek Skarbu Państwa, przelewających firmowe, a w gruncie rzeczy publiczne pieniądze na partyjne akcje i organizacje; a nawet piosenkarzy występujących u prezesa Jacka Kurskiego w Opolu – wszędzie tam zapewne trzeba było przekroczyć jakąś granicę wstydu. Jednym przyszło to trudniej, innym może bez wahań. Pewnie mamy tu jak w PRL wszystkie możliwe racjonalizacje – ambijonalne, merkantylne, ideowe, grupowe, cyniczne. Ale one ostoją się tylko tak długo, jak ta władza. Wstyd może być trwalszy.

Jan Koza



© JAN KOZA

Na szczęście są drzwi od stodoły

Samoloty szkoleniowe są, ale nie zostały przyjęte na stan uzbrojenia, więc nie mogą latać. Pat trwa.

Od 10 miesięcy polscy piloci czekają na możliwość szkolenia się na samolotach M-346 Bielik. Sytuacja jest tym bardziej frustrująca, że dwa samoloty już od października zeszłego roku stoją na lotnisku w Dęblinie. – *Za każdym razem, kiedy przechodzę koło tych samolotów, trafia mnie zlag. Nowiuteńkie hangary, w nich najnowocześniejsze maszyny szkoleniowe na świecie. A my dzień w dzień reanimujemy obok 40-letnie Iskry i udajemy, że to się jeszcze nadaje do szkolenia* – mówi jeden z instruktorów z Dęblina.

Pierwsze Bieliki przyleciały do Polski pod koniec października 2016 r. Polscy piloci dokonali oblotów, które potwierdziły sprawność maszyn w locie. Jednak sam producent przyznał, że samolot nie spełnia wszystkich przewidzianych w umowie zapisów, co do elektronicznej symulacji uzbrojenia. – *Na początkowym etapie szkolenia symulacja uzbrojenia to sprawa drugorzędna. W zasadzie już dziś moglibyśmy posadzić za sterami tych samolotów pierwszych kandydatów na pilotów F-16* – dodaje instruktor.

MON uznał jednak, że włoski producent dostarczył sprzęt niezgodny z dokumentacją zamówienia i nie przyjął maszyn na stan uzbrojenia sił zbrojnych. Wydawało się, że sprawę uda się załatwić w ciągu kilku miesięcy. Rozmowy utknęły w martwym punkcie. Sytuacja jest patowa. MON nalicza producentowi wysokie kary umowne – 0,1 proc. za każdy dzień opóźnienia, co według



© ANDRZEJ ROGUCKI

jednego ze źródeł oznacza już prawie 50 mln zł kar. Jednak to polskie lotnictwo najbardziej traci. – *Macierewicz wyśmiewał Komorowskiego za tekst, że polski pilot polecą nawet na drzwiach od stodoły. Jak tak dalej pójdzie, to nic więcej do szkolenia nam nie zostanie. To jeszcze bardziej denerwujące niż brak śmigłowców, bo tam uwalili kontrakt. A my już mamy samoloty na wyciągnięcie ręki i nawet nie można posiedzieć za sterami* – mówi zirytowany oficer. Nie można posiedzieć za sterami, bo w czerwcu technicy wymontowali z samolotów fotele lotnicze. I zaczęli konserwację maszyn. – *Sprzęt idzie do konserwacji, jeśli ma stać co najmniej pół roku* – tłumaczy jeden z pilotów. Stawia to pod znakiem zapytania cały kontrakt, który zakładał dostarczenie do Polski ośmiu kupionych samolotów do końca listopada tego roku.

JULL

KOMENTARZ



Marek Ostrowski

Elita, ale nie ta

Andrzej Duda – z propisowskim związkiem Piotra Dudy – zainaugurowali w Gdańsku konsultacje nad zmianą konstytucji. Prezydent wystąpił pod afiszem: „Konstytucja dla obywateli, nie dla elit”. To slogan głupi, choć perfidnie pomyślany. Zastąpmy konstytucję innym podobnym pojęciem: zasady, prawo. Zasady dla obywateli – nie dla elit? Prawo dla obywateli, nie dla elit? Absurd. Ale widać, że PiS chce dalej forsować podział na obywateli – poszkodowanych, lecz zdrowych, i elity – uprzywilejowane, lecz chore. Nie chodzi więc tu o żadną konstytucję starą czy nową, lecz jątżzące hasło polityczne. Czy pod nim mają się odbywać obchody stulecia odzyskania niepodległości?

Podział na obywateli i elity zapewnił populistom powodzenie wyborcze w wielu

krajach, zwłaszcza w Trumpowej Ameryce. Czy wyborcy nie dostrzegają jawnego kłamstwa? Czy nie jest elitą Trump, jeden z najbogatszych Amerykanów? A w Polsce czy do elity nie należy sam prezydent mieszkający w pałacu, prezes decydujący o kierunkach polityki całego kraju i rozdzielający najlepsze posady i pieniądze, wreszcie ministrowie rozbijający czarne limuzyny?

Teraz o prawie. Mówimy o „momencie konstytucyjnym”, takim szczególnym okresie w życiu kraju, kiedy widać historyczne przesilenie, z którego wynika potrzeba „nowej umowy społecznej”. Rocznie, choćby najpiękniejsze, nie tworzą takiego momentu. Wprawdzie prezydent w przemówieniu w Gdańsku fagodził kanty: nie mówił już, jak ostatnio, że nasza konstytucja – na którą przysięgał – jest komunistyczna (bo niby w czym?). Ale nie przekonał, że wymaga zmian. Skarżył się na nieprecyzyjny podział władzy i kompetencji między nim samym a premierem, co ma utrudniać skuteczne rządzenie. Ale rozłożenie władzy wykonawczej na dwa podmioty wcale nie jest takie głupie. Czy w polskich warunkach przyznanie całej władzy pani Szydło (czytaj – prezesowi) byłoby lepsze? Ani nie wyobrażam sobie przyznania całej władzy prezydentowi z ubezwłasnowolnieniem rządu. Podobny

(choć nie taki sam) rozdział występuje we Francji i współpraca prezydenta z rządem jest wzorowa, nawet jeśli pochodzą z przeciwstawnych ugrupowań politycznych. To kwestia rozsądku i wycucia interesu narodowego. Drugi postulat prezydenta – wpisanie konkretnego wieku emerytalnego do konstytucji – jest nierozsądny i niebezpieczny. Wpisywanie liczb czy wskaźników może się łatwo okazać niemożliwe do zrealizowania.

Oczywiście, że można konstytucję zmienić, inaczej ułożyć stosunki między organami władzy wykonawczej albo ustanowić dwa szczeble samorządu zamiast trzech, zmniejszyć czy zwiększyć liczbę posłów. To nie zmienia demokracji. Najważniejsze jest co innego. Słyszmy od opozycji, że PiS nie może wprowadzać radykalnych zmian, bo nie ma większości konstytucyjnej. To argument nietrafny. Są zasady niewzruszalne: podstawowe swobody obywatelskie, wolność demonstracji, wolność słowa, ochrona praw mniejszości, niezawisłość sądów, uczciwa kontrola konstytucyjności ustaw. Nawet z ogromną większością w parlamencie nie można ich naruszać. Kto pozwala, aby rząd decydował, co jest wyrokiem, a co nie jest, kto likwiduje władz i niezawisłość sądów – ten niszczy demokrację i żadną nową konstytucją tego nie poprawi.

KOMENTARZ



Bartek Chaciński

Niepodległa niepodległość

Jest już imienna lista elit – podpisana do-browolnie i opublikowana w internecie przy okazji powołania do życia nowego ruchu Kultura Niepodległa. Najważniejsze postaci polskiego filmu, teatru, literatury, których już ponad 1200 wpisało się na tę listę, trudno bowiem określić lepiej niż jako elitę polskiej kultury. Powiedzmy to sobie otwarcie, nie dając sobie wmówić (choćby przez aktualny rząd i prezydenta machających hasłem „elita” w kontekstach negatywnych), że w takim wyróżnieniu jest cokolwiek złego.

A ogłoszona 24 sierpnia inicjatywa wyszła od artystów, animatorów, ludzi sztuki.

Postulują przede wszystkim kontrolę polityki kulturalnej, włącznie z rekomendacją kandydatów na ministra, przez ustawowo powołaną Obywatelską Radę Kultury oraz „stworzenie na szczeblu samorządowym obywatelskiego mechanizmu finansowania i dystrybucji środków na kulturę”. Reszta postulatów opublikowanych na stronie kulturaniepodlegla.pl dotyczy dostępu do kultury, edukacji kulturalnej i misyjności mediów.

Słusznie zauważa na swoim blogu Edwin Bendyk, że Kultura Niepodległa jest ruchem domagającym się realizacji przez państwo konstytucyjnych zobowiązań wobec kultury. Chodzi o końcowy postulat „zakazu stosowania cenzury”, którego wyżej niż w konstytucji zapisać się nie da – a tam już jest. Podobnie jak równy dostęp do kultury. Misyjność mediów nie jest nawet – jak za poprzedniej ekipy – przedmiotem dyskusji, rozmawiamy raczej o ich propagandowości. Jeśli więc coś te postulaty nam uświadamiają,

to fakt, że dziś łamane są prawa Polaków. Budowanie nowego, lepszego świata, w którym samorząd twórców i odbiorców kultury decydowałby, na co przeznaczyć publiczne pieniądze, to odległe marzenie. A nowy system finansowania kultury nie jest pilniejszy niż obrona konstytucji.

Dlatego najwartościowsze i najbardziej konkretne w manifestie Kultury Niepodległej wydaje się to, co wspomniane zostało na samym końcu: propozycja własnych, obywatelskich i apolitycznych obchodów stulecia niepodległości Rzeczypospolitej. Wspaniała wydaje się perspektywa obchodów stulecia innych niż pośród urzędniczej celebry i wykluczeń wrogów politycznych, na klęczkach w kościele, z sortowaniem Polaków i okrzykami nienawiści w tle. A jej realizacja może być tak prosta jak to, czego potrzebujemy od kultury: nowy język, wizja świata, przenośnia, bohater, skrót, wzruszenie czy żart. Ludzie kultury wiedzą, że od manifestu lepiej łączyć film, piosenka i tekst literacki, dlatego mam postulat: realizację inicjatywy nowego ruchu zaczniemy od końca.

KOMENTARZ



Rafał Woś

Kierowcy drugiego sortu

Polski rząd prawdopodobnie przegra walkę o pracowników delegowanych. Niekoniecznie musi nas to jednak smucić. Macron zrobił, jak zapowiedział. Po wakacjach ruszył do załatwienia ważnej wyborczej obietnicy. Spotkał się z przywódcami Czech, Słowacji, Bułgarii i Rumunii. Po czym ogłosił, że jesienią dojdzie do mocniejszej regulacji rynku pracowników delegowanych (podobno kartą przetargową było zmniejszenie unijnej presji w sprawie uchodźców). PiS stara się skierować rozmowę na to, czy Macron zachował się wobec Warszawy arogancko (padły słowa, że „Polska się izoluje”). Ale to próba odwrócenia uwagi od sedna sprawy. Bo sedno jest takie, że Francuz rozbił właśnie tzw. koalicję dziewięciu. Tę samą, która w 2014 r. skutecznie zablokowała poprzednie podejście do silniejszej regulacji rynku pracy w Europie.

Czasem słychać, że spór o delegowanych to drobiazg, bo dotyczy zaledwie 2 mln osób (w tym pół miliona Polaków) w skali całej Unii. Sprawa jest jednak poważna. Aby ją rozumieć, trzeba się cofnąć do 2004 r. Unia rozszerza się wtedy o 10 biedniejszych krajów. Zachodni kapitał przebiega do rozszerzenia świadom szans wynikających z możliwości ekspansji. Ale tamtejszy świat pracy się boi. Wie, że rozszerzenie przyniesie napływ taniej siły roboczej. Sprawę komplikuje jeszcze skokowy wzrost bezrobocia w starej Unii po kryzysie 2008 r. Zachód szybko zauważa, że ze wschodu płyną nie tylko pracownicy, lecz również firmy usługowe. Obchodzące polityczne bariery dzięki konstrukcji delegowania. Widać to w transporcie, logistyce czy budowlance. Wszędzie tam roi się od przedsiębiorstw tworzących swoją przewagę konkurencyjną w najprostszy sposób. Placimy wschodnie (niższe) podatki, a pracownikom wschodnie (też niższe) stawki. A potem niższą ceną eliminujemy zachodnią konkurencję.

Reakcja musiała nadejść. W 2014 r. nowy szef KE Juncker obiecał zaostrzenie przepisów o delegowanych. Rząd PO-PSL stanął wtedy na ortodoksyjnie liberalnym stanowisku: polscy delegowani to przejaw zdrowej konkurencji. A że oparty na taniej pracy? Takimi drobiazgami zajmiemy się, jak już będziemy bogaci. W opozycji PiS uwielbiał chłosta Tuska za oparcie polskiej konkurencyjności na taniej pracy. Ale gdy

prawica przejęła władzę, to w sprawie delegowanych stoi dokładnie tam, gdzie stała zniechęcona Platforma. Różnica tylko w tym, że PiS stoi osamotniony. Bo w tej sprawie nie trzyma z nim nawet „bratnia” Solidarność.

Może więc czas, by na sprawę spojrzeć z zupełnie innej perspektywy, niż robiły to dwa poprzednie rządy. I zerwać z dogmatem, że obrona status quo leży w żywotnym interesie Polski. Zauważmy, że leży ona raczej w interesie garstki przedsiębiorców budujących swoją konkurencyjność na niskich standardach pracy. Najwyższy czas na pytanie, co z pracownikami, których obecne przepisy de facto dyskryminują? Bo dlaczego polski kierowca ma zarabiać kilkakrotnie mniej niż jego belgijski czy niemiecki odpowiednik wykonujący tę samą pracę?

U ruchomione na czas batalii o delegowanych organizacje lobbujące głoszą, że pomysły Macrona odbiorą pracę 400 tys. Polaków. Już sam ton tych wystąpień („to jakby pół Krakowa straciło robotę”) nosi jednak znamiona emocjonalnego szantażu. Na dodatek argumenty nie są przekonujące. Wszystko opiera się na założeniu, że polski przedsiębiorca może konkurować w Europie wyłącznie niskimi kosztami pracy i nigdy nie wejdzie na wyższy etap rozwoju. Co prawdą było może dekadę temu. Ale dziś dorosiliśmy już, żeby wstać z kolan. Czyż nie?



Bardziej nierówni

PiS miał walczyć z nierównościami. Jednak po dwóch latach rządów tej partii dużo więcej osób niż za czasów PO dostrzega istnienie różnic społecznych.

Stabilne poparcie dla PiS przypisywane jest polityce socjalnej rządu, szczególnie programowi 500+. Jednak wdzięczność wyborców jest krótka, a partia rządząca rozbudziła aspiracje, których nie będzie w stanie zaspokoić. Nadchodzi burzliwa jesień, która będzie testem stabilności poparcia dla PiS. Zwykle dwulecie rządów to moment, gdy wyborcy zaczynają dużo krytyczniej oceniać władzę. Wyczerpuje się początkowy kredyt zaufania i efekt nowości. Można już też ocenić decyzje i działania polityków. Rząd próbuje zapobiec spodziewanemu spadkowi poparcia tą samą metodą co zwykle: obietnicą nowych świadczeń. Przygotowywany jest program emerytura+. Ale czy jego efekty zrównoważą głośne protesty wielu grup społecznych, to wątpliwe.

Politycy i komentatorzy bliscy PiS podkreślają, że partia Kaczyńskiego dobrze zdiagnozowała oczekiwania społeczne, wychodzi im naprzeciw, co doceniają wyborcy. Zakłada się tu jednak automatyzm: oczekiwania społeczne – realizacja obietnic – utrzymanie poparcia. Czy jednak tego typu polityka nie wzbudzi kolejnych żądań zamiast wdzięczności dla rządzących? Część osób już straci pieniądze z 500+, ponieważ dzieci skończą 18 lat. Inni będą pytać o podwyżki płac i świadczeń, zakładając, że im też należą się dodatkowe pieniądze. Bo skoro gospodarka tak dobrze się rozwija, jak to podkreślają rządzący, to wszyscy powinni korzystać z owoców tego wzrostu.

To, że rząd swoją retoryką rozbudza oczekiwania, które trudno będzie zaspokoić, potwierdzają najnowsze badanie CBOS o postrzeganiu nierówności. Obecna retoryka „dobrej zmiany” jest kontynuacją hasła z wyborów w 2007 r., gdzie „Polska socjalna” była przeciwstawiona „Polsce liberalnej”. Obecnie PiS realizuje zaprojektowaną przez siebie politykę mającą na celu zmniejszenie różnic materialnych. Tym bardziej więc zaskakuje odbiór różnic społecznych. Można by oczekiwać, że Polacy dostrzegą, że w czasie rządów PiS różnice społeczne maleją. Badania wskazują jednak coś przeciwnego. Po dwóch latach rządów PiS dużo więcej osób niż za czasów PO dostrzega istnienie w Polsce różnic społecznych. I tak dziś 28 proc. badanych jest przekonanych, że wszyscy są równi wobec prawa – w 2010 r. sądziło tak 38 proc. Zmalała też liczba osób przekonanych, że wszyscy w Polsce mają równe szanse niezależnie od swojej sytuacji materialnej i pochodzenia społecznego.

Co więcej, nawet 500+ niewiele zmieniło w postrzeganiu różnic społecznych. Ponad 3/4 społeczeństwa uważa, że w Polsce nie gwarantuje się wszystkim obywatelom przyzwoitego poziomu życia. Pogląd ten nie ulega zmianie od kilku lat i podziela go dziś tyle samo osób co za rządów PO. Najbardziej świadomi różnic są najbiedniejsi, a więc znaczna część elektoratu PiS; stosunkowo najbardziej zadowoleni są zaś przeciętni Polacy.

Postrzeganie obecnie większych nierówności zdaje się być wywołane przez populistyczną retorykę PiS. Politycy tej partii ciągle podkreślają – wbrew danym – że za rządów PO rosły różnice, elity się bogaciły, a PiS doszło do władzy, aby pomóc potrzebującym. Populści podkreślają obecność i wagę różnic, ale nie mogą zniwelować ich zgodnie z rozbudzonymi oczekiwaniami.

Elementem tej metody jest też dzielenie Polaków na elity, które „kradły i skorzystały na przemianach”, oraz na niedocenioną, „lekceważoną” resztę. Ze względów politycznych pomija się tu klasę średnią, która w ostatnich 20 latach urosła w siłę i dostatek. W czasie kampanii wyborczej retoryka „złe elity – pokrzywdzone masy” była skuteczna. PO była elitą, bo rządziła, a niedocenianą resztą czuł się właściwie każdy. Teraz jednak do głosu dochodzi oburzona destrukcją demokracji klasa średnia. Protestują i sędziowie, i pracownicy systemu sądownictwa, i lekarze, i pielęgniarki, nauczyciele, kobiety i wiele innych grup. Nie stanowią oni elity, która zyskała na III RP, ale – podobnie jak wielu przedsiębiorców i samorządowców – klasę średnią, która wiele zawdzięcza swojej pracy i przedsiębiorczości.

W Europie to przede wszystkim klasa średnia jest nośnikiem wartości demokratycznych. I to ona ich broni. Klasa średnia potrafi się łączyć w organizacje zawodowe i dzięki temu zyskuje siłę. Organizacje te współpracują, zwłaszcza w chwilach zagrożenia, z innymi podobnymi w kraju i za granicą. Dlatego głos klasy średniej jest donośny. I to z nim znów zmierzy się jesienią rząd PiS. Populistyczna i dychotomiczna retoryka tu nie wystarczy, bo klasa średnia to twór socjologiczny silnie już ukształtowany dzięki dynamicznemu rozwojowi Polski.

Socjologowie twierdzą, że są dwa ważne wymiary postrzegania narodów: skuteczność i pragmatyzm oraz moralność. Można je zastosować do opisu partii politycznych. Przez długi czas PO była postrzegana jako partia pragmatyczna i skuteczna – i za taką chciała uchodzić. Tymczasem PiS podkreślało w kampanii wyborczej wagę uczciwości i czystości w życiu publicznym. Moralność była ważna, bo w oczach wyborców miała odróżniać partię Kaczyńskiego od wówczas rządzących. Teraz jednak wypiera ją głód stanowisk i apanaży, premii i odznaczeń. PiS ma też problem z tym drugim wymiarem. Wiarę zwolenników rządzących w ich skuteczność i pragmatyzm boleśnie narusza spóźniona reakcja na nawałnice oraz liczne porażki na arenie międzynarodowej.

Sondaże to pomiar chwili, na jesieni będą bardziej wiarygodnie oddawać nastroje społeczne niż w lecie. Wakacje to szczególny okres, gdy prowadzenie badań opinii publicznej jest utrudnione. Wiele osób wyjeżdża, inni zwyczajnie nie chcą rozmawiać o polityce. Tym bardziej więc warto analizować nie tylko chwilowe wyniki poparcia dla partii politycznych, bo to daje bardzo niepełny obraz, ale i głębsze procesy społeczne.

Lena Kolarska-Bobińska – socjolog, profesor nauk humanistycznych, była dyrektor CBOS oraz ISP. W latach 2009–13 posłanka do Parlamentu Europejskiego z ramienia PO, później minister nauki i szkolnictwa wyższego w rządzie Donalda Tuska, a następnie w gabinecie Ewy Kopacz. Członkini rady programowej Kongresu Kobiet oraz rady Instytutu Obywatelskiego. Autorka licznych publikacji naukowych.



Trump wraca do Afganistanu

Donald Trump musiał wycofać się ze swoich buńczucznych zapowiedzi wyjścia z Afganistanu, żeby nie zmarnować tego, co udało się tam osiągnąć.

Jeszcze w 2013 r. Donald Trump był ostrym krytykiem amerykańskiego zaangażowania w Afganistanie. „Musimy stamtąd wyjechać – już. Przecież ta wojna to nonsens” – tweetował wówczas. W ubiegłym tygodniu przyznał, że choć intuicję ma wciąż tę samą, to jednak zmienił zdanie: „Już wcześniej mi mówiono, że za tym biurkiem (w Gabinetie Ovalnym – przyp. red.) zmienia się perspektywa”.

Trump ogłosił właśnie nową strategię dla Afganistanu. Zakłada ona okresowe – ale nie wiadomo, na jak długo – zwiększenie amerykańskiego kontyngentu: o 4 tys. żołnierzy (z obecnych 8,5 tys.) oraz liczniejsze operacje sił specjalnych USA. To duża zmiana, bo od 2015 r. Amerykanie zajmowali się głównie szkoleniem. „Będziemy zabijając terrorystów” – zapowiedział prezydent USA. Strategia Trumpa nie przewiduje też daty odwrotu, na co szczególnie nalegał ponoć sekretarz obrony Jim Mattis, aby w ten sposób talibowie nie wzięli Amerykanów na przeczekanie.

Na razie końca 16-letniej wojny w Afganistanie nie widać. Jeszcze dwa lata temu popierany przez Zachód rząd w Kabulu kontrolował 72 proc. kraju – dziś już tylko 57 proc. Nasilają się ataki talibów na cele rządowe. Coraz głośniejsze mówi się o wsparciu, jakiego miałyby im udzielać Rosja i Iran. Przede wszystkim pomaga im Pakistan, który widzi w talibach przeciwwagę dla rosnących w Afganistanie wpływów Indii. Z kolei Trump właśnie Indie chciałby nakłonić do wyręczenia USA w roli długoterminowego stabilizatora w regionie.

Nawet polityczni przeciwnicy Trumpa przyznają, że w sprawie Afganistanu nie mogli postąpić inaczej. Całkowite wycofanie się USA oznaczałoby triumf talibów i zmarnowanie 16 lat. Znaczące zwiększenie kontyngentu było politycznie niemożliwe. Trump wybrał więc wersję „status quo plus”. I oczekuje, że wesprą go w tym sojusznicy z NATO – nieoficjalnie Polska ma zwiększyć kontyngent w Afganistanie z obecnych ok. 200 do 300 żołnierzy.

Olimpiada walkowerem

Kiedy 13 września w Limie przewodniczący MKOl Thomas Bach będzie ogłaszał gospodarzy Igrzysk 2024, emocji nie będzie. I chyba nawet niepotrzebna koperta, bo już wiadomo, co znajdzie się w środku: Paryż. Kiedy zrezygnowały Boston, Rzym, Budapeszt i Hamburg, a Paryż zawarł dzentelmeńską umowę z Los Angeles: u nas olimpiada w 2024 r., u was – w 2028 r., pozostał sam na placu boju. To już nie te czasy, kiedy o organizację igrzysk walczyło się wszystkimi dostępnymi sposobami (z podkreśleniem: wszystkimi). Olimpiady po prostu się nie opłacają: Sydney (2000 r.) było chyba jedynym miastem, którego



potem nie dopadła choroba białych słoni – nieczynnych, niszczących obiektów, zbyt dużych, źle dopasowanych do codzienności. Czego symbolem stały się Ateny (2004 r.), Rio de Janeiro (2016 r.) w rok po igrzyskach przeżywa ciężki kryzys, a porządku w mieście pilnuje wojsko. Tokio (2020 r.) zmienia burmistrzów i już, po protestach, odchodziło swój główny stadion, ciągle w budowie, a koszyki, i tak gigantyczne, zdążyły się podwoić.

Olimpizm dotknęły, inni mówią: zniszczyły, dwie potężne plagi: korupcja działaczy i doping. Odbieranie medali po latach, w miarę doskonalenia procedur dopingowych, jest tego najbardziej karykaturalnym dowodem. Dlatego Francuzi do „citus, altus, fortus” – szybciej, wyżej, silniej – swojego rodaka de Coubertina, ojca nowożytnych igrzysk, chcą dodać swoje: jak najczystsiej. W sensie wydajnej kontroli dopingowej oraz jak najmniej uciążliwego ekologicznego wymiaru tej imprezy. Powodzenia!

Czarna seria rosyjskich ambasadorów

Czwarty, od grudnia zeszłego roku, rosyjski ambasador, który nagle umiera podczas pełnienia służby, to Mirgajasz Szyriński – znaleziono go martwego kilka dni temu w posiadłości w sudańskim Chartumie. Wcześniej zamachowiec (twierdzący, że mści się za Aleppo) zastrzelił w Ankarze ambasadora Andrieja Karłowa, potem zmarł rosyjski ambasador w Indiach, a w marcu ambasadorem Rosji przestał być Witalij Czurkin, ponieważ zmarł na atak serca, chociaż tej przyczyny śmierci w oficjalnych dokumentach wcale nie wpisano.

Oprócz ambasadorów zmarło lub zginęło w dziwnych okolicznościach pięciu innych pracowników rosyjskiego korpusu dyplomatycznego. Począwszy od odpowiedzialnego za bezpieczeństwo konsulatu w Nowym Jorku Siergieja Kriwowa, który miał dostęp do tajnych dokumentów, a zginął 8 listopada, czyli w dniu, w którym Amerykanie wybierali prezydenta. W Moskwie zabiło naczelnika departamentu Ameryki Południowej w rosyjskim MSZ, zmarł konsul w Kazachstanie i konsul w Grecji oraz były generał KGB i FSB, którego podejrzewano, że był źródłem dla autora raportu o związkach Donalda Trumpa z Rosją.



Czy nowy ambasador w USA przerwie złą passę rosyjskich dyplomatów?

To zły znak w dyplomacji: wokół rosyjskich ambasad i ich pracowników jest w ogóle ostatnio bardzo głośno. Szczególnie od początku prezydentury Donalda Trumpa, kiedy wychodzi na jaw, że kolejni amerykańscy politycy i członkowie rodziny prezydenta spotykali się z różnymi ważnymi Rosjanami albo z ambasadorem Siergiejem Kislijakiem, którego kilka dni temu zastąpił **Anatolij Antonow**. Ale Kislijak, choć zakończył misję w Waszyngtonie już ponad miesiąc temu, wciąż jest jednym z głównych bohaterów dochodzenia w sprawie domniemanej ingerencji Rosji w wybory prezydenckie w Stanach, i nie przestaje schodzić z pierwszych stron amerykańskich gazet. Co akurat w tym zawodzie zupełnie nie jest pożądanym.



© EAST NEWS

W Ripoll, cichym mieście

Historyczne miasteczko z widokiem na Pireneje i ciasnymi uliczkami, leżące u zbiegu rzek Ter i Freser, 11 057 mieszkańców, romański klasztor Świętej Marii z 878 r., ubiegający się o miejsce na liście UNESCO. Kiedyś słynne ze złóż węgla i rud żelaza oraz produkcji broni palnej, od lat ospałe i bez historii – aż do ubiegłego tygodnia. To w Ripoll mieszkali 11 zamachowców z Barcelony i Cambrils, a przede wszystkim 45-letni imam Abdelbaki Es Satty, który zdołał w krótkim czasie z chłopców – dość przeciętnych, niezłe zintegrowanych, dobrze mówiących po katalońsku, mało religijnych, lubiących piłkę i uczęszczających na imprezy – zrobić dżihadystów. Ciągłe niewiele o nich wiemy, poza ogólnikami, że normalni i mili, ostatnio wspólnie wynajmowali mieszkanie, a później nagle zniknęli.

Marokańczyków mieszka tu poniżej tysiąca, proporcje jak w całej Katalonii. Teraz zdziwienie i konsternacja. „Gdybym coś zauważył, pierwszy zawiadomiłbym policję” – mówi Ali Yassine z lokalnego stowarzyszenia muzułmańskiego. 22-latek, który w ub. czwartek rozjeżdżał ludzi na Ramblas, nieśmiały i wycofany, handlował w mieście *farloq*, kokainą. Wszyscy młodzi mieli do niego telefon. Podobno sporo było narkotyków w Ripoll, ale teraz się o tym nie mówi.

Nowy cyfrowy naród

Zaawansowana cyfrowo Estonia, o której mówi się, że z dostępu do internetu uczyniła oficjalną ideologię, nie zwalnia tempa. Rząd przymierza się do przyjęcia tzw. wirtualnej waluty. Tego rodzaju niby-pieniądze powstają z reguły w czeluściach sieci i bez udziału systemu bankowego, toteż nie dziwnego, że do kryptowalut ze sporą rezerwą odnoszą się instytucje finansowe, w tym banki centralne. Mimo to szereg państw, w tym m.in. tak duże jak Chiny, rozmyśla nad własną kryptowalutą, widząc w niej ciekawe uzupełnienie dla tradycyjnego systemu pieniężnego. Estonia chciałyby być szybsza, w czym pomóc ma jej sprawniejsza, uwolniona od kultu papieru i pieczętek biurokracja.

Es Satty, zanim w 2016 r. został tu imamem (z pensją 900 euro), w nowym, drugim w mieście meczecie, siedział cztery lata za narkotyki. Przyłapany w 2010 r. na promie z Maroka do Ceuty z 12 kg haszyszu. Podobno z domowej plantacji, na północy Maroka, gdzie mieszka jego żona i ośmioro dzieci. W hiszpańskim więzieniu z przemytnika wyrósł bojownik islamu? Już wcześniej miał kontakty z radykałami, mieszkał z Mohamedem Mrabetem, przyszłym zamachowcem z Madrytu. Dużo podróżował, w 2016 r. spędził trzy miesiące w Vilvorde w Belgii, kuźni kadr ISIS. Tam też był imamem, uciekł, kiedy się okazało, że nie ma stosownych dokumentów. Belgowie powiadomili o tym Hiszpanów, ale nie wzbudziło to większych podejrzeń. Es Satty, umiarkowany w meczetowych naukach, był poza radarami. Jak i całe Ripoll, bo nic tu się nigdy nie działo. Wkrótce w opuszczonym budynku w nieodległym Alcanar imam zaczął gromadzić butle z gazem i wielkie ilości chemiczaliów do produkcji nadtlenu acetonu, środka wybuchowego zwanego w kręgu ISIS „matką szatana”. Miało starczyć tego na trzy furgonetki i trzy bardzo krwawe samobójcze zamachy w Barcelonie, w tym, być może, na Sagrada Familia. Przypadkowy wybuch, w którym zginął imam i jeszcze dwóch zamachowców, pokrzyżował te plany.

Burmistrz Jordi Munell ogłosił, że zapewni mieszkańcom Ripoll pomoc psychologa, aby łatwiej przyszło im zrozumieć to, czego zrozumieć zupełnie nie mogą.

O hiszpańskich enklawach Ceucie i Melilli – s. 45.

Gołą stopą przez kryzys

Popularne brazylijskie klapki zmieniły właściciela w efekcie afery korupcyjnej.

Najnowszą ofiarą brazylijskiej afery korupcyjnej są... klapki. Chociaż w Polsce na taki model mówi się „japonki”, to większość świata plastikowe klapki z charakterystycznym paskiem pomiędzy dwoma największymi palcami nazywa „havaianas”, a to od nazwy brazylijskiej firmy, która je rozpropagowała. Latynosi pierwotnie zaczęli w latach 60. od rozprowadzania charakterystycznego gumowego obuwia



© MP

wśród robotników pracujących na wybrzeżu, ale gdy trzy dekady później produkt zaczął trafiać na rynek także w niestandardowych wersjach kolorystycznych (np. z logo znanych klubów piłkarskich albo z bohaterami kreskówek), stał się natychmiastowym hitem wśród lokalnej klasy średniej oraz zagranicznych turystów. Dziś na świecie sprzedaje się rocznie 150 mln oryginalnych havaianas, a w największych miastach Brazylii można znaleźć po kilka firmowych sklepów handlujących tylko tym obuwem.

Niestety, marka należała do korporacji rodziny Batista. Eike, jej najbardziej znany przedstawiciel, jeszcze na początku dekady był najbogatszym człowiekiem w Ameryce Południowej, z aspiracjami do światowej czołówki. Ale nietrafione inwestycje połączone z kryzysem doprowadziły go do bankructwa, a wielka afera korupcyjna, która od trzech lat trzęsie brazylijskim światem politycznym i biznesowym – na ławę oskarżonych i do aresztu. Żeby opłacić nałożone na konsorcjum Batistów kary finansowe, rodzina musiała sprzedać markę za równowartość miliarda dolarów. Kupcami okazały się jednak lokalne banki, więc charakterystyczna brazylijska flaga chyba jednak nie zniknie z paska utrzymującego kłapek przy stopie.



Drewniana potęga

Minister Szyszko i huragan stulecia sprawili, że zamiast lasów mamy sporo drewna do zagospodarowania. Polska wprowadzie drewnem stoi, ale ostatnio trochę się chwieje.

ADAM GRZESZAK

To był front burzowy typu *bow echo*. Niektórzy meteorolodzy mówią nawet, że nocą z 11 na 12 sierpnia przez Polskę przewaliło się „derecho progresywne”, czyli rozległe, gwałtowne i wyjątkowo niszczycielskie zjawisko atmosferyczne. Cokolwiek to było, zabiło pięć osób, pozostawiając za sobą pas zniszczeń ciągnących się od Wybrzeża po Dolny Śląsk.

Wyjątkowo ucierpiały lasy. 80 tys. hektarów zostało zdewastowanych, z tego połowa praktycznie przestała istnieć. Straty dotknęły 22 rezerwy, 15 obszarów ptasich i 134 siedliskowe. Padły drzewa pomniki przyrody, zniszczone zostały cenne drzewostany nasienne, strefy ochrony ptaków.

Zginęło sporo zwierząt, ucierpiało 20 proc. powierzchni Parku Narodowego Bory Tucholskie.

Najdotkliwiej żywioł obszedł się z lasami należącymi do Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. W ciągu jednej nocy dokonał trzebieży 5,5 mln m sześć. drzew. Tyle drewna wszystkie tamtejsze nadleśnictwa pozyskują normalnie przez trzy lata. W sumie Lasy Państwowe straciły drzewa o łącznej kubaturze ok. 10 mln m sześć., czyli czwartą część tego, co w tym roku zaplanowały do wycinki na terenie całego kraju.

– *W ponad 90-letniej historii naszej organizacji nie było dotąd kłęski o takiej skali* – przekonuje Konrad Tomaszewski, dyrektor generalny Lasów Państwowych (LP). Dlatego mówi nie tylko o największej katastrofie w dziejach polskich lasów, ale i europejskich. To oczywiście przesada. Europa przeżywała w ostatnich latach większe kataklizmy. Huragany Lothar i Martin pod koniec

grudnia 1999 r. zwały w zachodniej Europie drzewa o kubaturze 180 mln m sześć. W 2005 r. Szwedzi stracili 75 mln m sześć. drzew za sprawą huraganu Gudrun. W Polsce 15 lat temu huraganowy wiatr zdewastował Puszcę Piską (2,5 mln m sześć.), a w lipcu, kilka tygodni przed dramatem na Pomorzu, ucierpiało 2 tys. hektarów lasu (265 tys. m sześć.) nadleśnictwa Rudy Raciborskie na Górnym Śląsku.

Kłęskowiska

Polskie lasy są zdominowane przez monokultury sosnowe – to właściwie plantacje drzew w podobnym wieku. Dzięki temu gospodarka leśna jest łatwiejsza, ale taki las bardziej podatny jest na kataklizmy. Sosny, jeśli nie zostały wyrwane z korzeniami, łamały się jak zapałki. Niektóre rozczepione i postrzępione kikuty robią wrażenie, jakby ktoś je ukręcił.

Dziś na tysiącach hektarów kłęskowisk, jak nazywają je leśnicy, piętrzy się płatanina pni. Uprzątnięcie zniszczeń i sadzenie nowego lasu potrwa do 2019 r. – przewidują. Koszt tej operacji szacują na 1 mld zł, mając nadzieję, że sprzedaż drewna z wiatrołomów pokryje wydatki. W nadleśnictwach dotkniętych kataklizmem Lasy Państwowe ogłosiły stan siły wyższej. Kupują sprzęt – harwestery, forwर्डery, piły – prowadzą zaciąg dodatkowych ZUL-i, czyli zakładów usług leśnych, oraz firm, które zajmą się przygotowaniem dla nadleśnictw kłęskowych nowych planów urzędzenia lasu (10-letni plan gospodarki leśnej).

Lasy Państwowe zatrudniają na terenie całego kraju ok. 4 tys. prywatnych firm zajmujących się robotami leśnymi. W normalnych warunkach muszą one stawać do przetargów organizowanych przez nadleśnictwa. Zulowcy narzekają, że LP wykorzystują swoją monopolistyczną pozycję, dusząc ceny. Lasy odpowiadają, że ZUL-om żyje się całkiem nieźle i każdego roku inkasują ok. 3 mld zł za swoje usługi (675 tys. zł rocznie na firmę).

Teraz, ze względu na stan kłęski, dyrektor generalny zezwolił na zawieranie nowych umów z wolnej ręki. LP nie są zdane wyłącznie na zulowców, mają też własne komórki zajmujące się pracami leśnymi. To one dysponują większością ciężkiego sprzętu. Na przykład harwestery pracujące dziś w Puszczy Białowieskiej należą do zakładu LP w Giżycku. Dyrektor generalny polecił, by ciężki sprzęt był kierowany do rejonów kłęskowych.

Harwester to kombajn zrębowy. Przypomina pojazd marsjański: chwytą łapą na dole drzewo i ścina, a potem szybko odcina gałęzie i tnie na kłody. W ciągu dnia może ściąć 200 drzew. Ale normalnie rosnących, a nie powalonych przez wiatr jak na Pomorzu. Wydajność spada także wtedy, gdy do maszyny przykują się ekolodzy, jak zrobili to w Puszczy Białowieskiej.

Tam pracują zwykle cztery takie kolosy, w całej Polsce – kilkadziesiąt. Po katastrofie harwesterowcy rozpytują o pracę w Borach Tucholskich oraz w okolicach Sulęcyna na Kaszubach, licząc, że przy usuwaniu skutków huraganów będą wyższe zarobki. Bo w Puszczy Białowieskiej ostatnio zarabiają po kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie. Poza harwesterowcami potrzebni będą też pilarze, bo w wielu przypadkach tylko piłami spalinowymi można rozplątać kłębowiska drzew.

Wyprzedzić sinicę

Dyrektor generalny LP nakazał, by w nadleśnictwach dotkniętych kłęską wstrzymano planową wycinkę. Z wiatrołomów w pierwszej kolejności ma być pozyskiwane pełnowartościowe drewno. Póki jeszcze nadaje się do zagospodarowania. Bo za chwilę zaatakują grzyby i sinica, a wtedy będzie się nadawało na opał.

– *To wygląda strasznie, trudno sobie nawet wyobrazić skalę zniszczeń* – mówi wstrząśnięty Marek Kasprzak z firmy Steico w Czarnej Wodzie, prezes Stowarzyszenia Producentów Płyt

Drewnopochodnych w Polsce. Czarna Woda leży na Kaszubach, więc i ona ucierpiała w trakcie sierpniowej nawałnicy, podobnie jak pobliskie lasy.

Niemal w oku cyklonu znalazła się Tuchola. Huragan zdemolował miasto i zniszczył okoliczne Bory Tucholskie. – *Wiatr zerwał dach z części hal produkcyjnych naszego tucholskiego zakładu. Odbudowa zajmie kilka tygodni* – wyjaśnia Grzegorz Gołuński, prezes firmy Heban produkującej drewniane domy o konstrukcji szkieletowej.

Na szczęście natura łagodniej obeszła się z pobliskim Cekcynem, gdzie spółka ma swoją siedzibę i drugi zakład. Jednak prezesa mniej martwi dach, a bardziej przyszłość firmy, która zależna jest od dostaw drewna z pobliskich lasów. – *Boimy się, że Lasy Państwowe będą chciały nam sprzedać drewno z wiatrołomów jako pełnowartościowe. A taki surowiec jest dla nas nieprzydatny. Już wcześniej prowadziliśmy badania: drewno z drzew połamanych przez wicher, nawet jeśli nie widać na nim zewnętrznych uszkodzeń, traci swoje walory wytrzymałościowe i nie spełnia norm* – wyjaśnia prezes Gołuński.

Drewniane Allegro

Handel drewnem prowadzony jest w zagmatwany sposób. W dużym skrócie wygląda to tak: pula drewna, którą mają zamiar odsprzedać LP, jest wystawiana raz do roku, w styczniu. Sprzedaż prowadzi się dwoma kanałami. Ok. 70 proc. trafia na przetargi ograniczone, w których mogą brać udział tylko przedsiębiorcy mający podpisane z LP umowy. Reszta jest sprzedawana w przetargach otwartych, na platformie internetowej e-drewno. To takie drewniane Allegro, dla firm i odbiorców detalicznych.

W przetargach ograniczonych poziom cen określają leśnicy, wyznaczając tzw. cenę skonsolidowaną. W jaki sposób to robią, jest leśną tajemnicą, która tylko czasem jest odsłaniana, gdy padają informacje, że leśnicy muszą wyjść na swoje, bo potrzeby finansowe mają spore. A na dodatek 2 proc. od sprzedaży drewna inkasuje od nich fiskus. Każdego roku cena, wokół której musi się toczyć licytacja, jest podnoszona; w tym roku o 2,5 proc. W przetargu brane są też pod uwagę czynniki pozacenowe i tak rodzi się lista odbiorców drewna. Kto, co i za ile ostatecznie kupił, to tajemnica. Odbiorcy wiedzą jedynie, że ceny w poszczególnych regionach Polski się różnią, bo dla większości firm kontrahentem nie jest Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe, ale konkretne nadleśnictwo.

Taki system miał chronić polskie przedsiębiorstwa przed niekontrolowanym wzrostem cen i wykupywaniem drewna przez zagranicznych konkurentów, jednak odbiorcy drewna coraz częściej narzekają, że są nabijani w butelkę. Bo ceny na otwartych przetargach często bywają niższe od tych, które im dyktują Lasy. Czasem opłaca się nawet zrezygnować z zakontraktowanego drewna, płacąc 5 proc. kary, i kupić surowiec na e-drewno.

A drewna nieustannie brakuje. Bo polski przemysł drzewny rośnie szybciej niż polskie lasy. W leśnej konkurencji jesteście europejskim średniakiem. Tak pod względem lesistości (30,5 proc. powierzchni kraju), zdrowotności ekosystemów, bioróżnorodności, pożarów lasów, intensywności pozyskiwania drewna itd. W czołówce lokujemy się za to pod względem zasobności lasów – 254 m sześć./ha (średnia UE – 154 m sześć./ha).

Lasy Państwowe mają ustawowy obowiązek prowadzenia zrównoważonej gospodarki leśnej; lasów nie może ubywać. Organizacje ekologiczne zarzucają jednak LP nadmierną eksploatację. Przemysł przeciwnie – gospodarkę ekstensywną, która sprawia, że w lasach pozostaje wiele drzew, które przekroczyły wiek rębności. A to marnowanie cennego surowca. Choć pozyskanie drewna rośnie, to przemysł wciąż narzeka, że lasy tną za mało. ▶